

Kurt Vonnegut

Jutro

Był rok 2158. Lou i Emeralda Schwartz szeptali na balkonie przylegającym do pokoju rodziny Lou na 76 piętrze Bloku nr 257 w Alden Village, nowojorskim osiedlu zajmującym obszar znany niegdyś jako Południowe Connecticut. Kiedy Lou i Emeralda pobierali się, rodzice Em nie wróżyli temu małżeństwu powodzenia ze względu na różnicę wieku, ale dziś, kiedy Lou miał 112 a Em 93 lata, zmuszeni byli przyznać, że było ono całkiem udane.

Jednakże Em i Lou nie byli całkowicie wolni od kłopotów i właśnie z tego powodu siedzieli teraz na balkonie oddychając rześkim powietrzem.

- Czasami jestem tak wściekła, że mam ochotę rozcieńczyć jego antygerason - powiedziała Em.

- To byłoby wbrew Naturze, Em - odrzekł Lou. - Po prostu zwykłe morderstwo. Poza tym, gdyby nas przyłapał na manipulowaniu przy jego antygerasonie, nie tylko by nas wydziedziczył, ale przetrąciłby mi kark. Fakt, że Dziadunio ma 172 lata, bynajmniej nie oznacza, że nie jest silny jak byk.

- Wbrew Naturze. A któż dzisiaj wie, jaka jest Natura? Och, nie przypuszczam, żebym kiedykolwiek zdobyła się na rozcieńczenie jego antygerasonu lub coś w tym rodzaju, ale do licha, Lou, człowiek nie może oprzeć się myśli, że Dziadunio nigdy nie zdecyduje się odejść, o ile ktoś mu trochę tego nie ułatwi. Boże!... Jesteśmy tak stłoczeni, że ledwie można się obrócić, Verna umiera z pragnienia posiadania dziecka, a Melissa od trzydziestu lat nie miała ani jednego. - Tupnęła nogą. - Jestem już chora od ciągłego patrzenia na jego starą pomarszczoną twarz, na to, jak zajmuje jedyny samodzielny pokój, najlepsze krzesło, ma najlepsze jedzenie, wybiera to, co chce w programie telewizyjnym i trzyma nas wszystkich w garści przez ciągle zmienianie ostatniej woli.

- No cóż - powiedział ponuro Lou - w końcu Dziadunio jest głową rodziny. I nic nie poradzi na to, że jest taki pomarszczony. Miał siedemdziesiątkę, kiedy wynaleziono antygerason. On zamierza odejść, Em. Daj mu trochę czasu. To jego sprawa. Wiem, że trudno żyć z nim pod jednym dachem, ale bądź cierpliwa. Nie ma sensu robić nic, co by go rozdrażniło. Ostatecznie, powiodło nam się i tak lepiej niż innym - mamy tapczan.

- Jak myślisz, długo jeszcze będziemy spać na tapczanie, zanim wybierze sobie nowego faworyta? Rekord świata wynosi, zdaje się, dwa miesiące, prawda?

- Mama i Papa cieszyli się nim chyba dłużej.

- Kiedy on zdecyduje się odejść, Lou?

- Cóż, powiedział, że odstawi antygerason zaraz po wyścigach samochodowych na 500 mil.

- Tak... a przedtem była Olimpiada, jeszcze wcześniej baseballowe zawody o mistrzostwo Ameryki, jeszcze wcześniej wybory prezydenckie, a jeszcze wcześniej już - sama - nie - wiem - co. W ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat pamiętam tylko wymówkę za wymówką. Nie wierzę już, że kiedyś w przyszłości dostaniemy dla siebie pokój, jajko czy cokolwiek.

Świetnie! Uważaj mnie za niedojdę! - powiedział Lou. - Cóż ja mogę zrobić? Pracuję ciężko, zarabiam nieźle, ale praktycznie wszystko zżerają podatki na obronę i emerytury. A nawet jeżeli nie byłoby podatków, jak myślisz, gdzie moglibyśmy znaleźć wolny pokój do wynajęcia? Może w Iowa? Ale kto chciałby mieszkać na peryferiach Chicago?

Em zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Lou, kochanie, wcale nie uważam cię za niedojdę. Bóg świadkiem, że nim nie jesteś. Po prostu nie miałeś szansy, by stać się kimś lub czegoś się dorobić, ponieważ Dziadunio i jego pokolenie nie odchodzą i nie pozwalają innym przejąć pałeczki.

- Tak, tak - mruknął Lou. - Nie możesz ich jednak całkiem potępiać. Ciekaw jestem, jak szybko my przestaniemy zażywać antygerason będąc w wieku Dziadunia.

- Czasami chciałabym, żeby antygerason nigdy nie został wynaleziony - powiedziała Emeralda. - Albo żeby był zrobiony z czegoś rzeczywiście kosztownego i trudnego do zdobycia, a nie z mułu i mniszka. Czasem pragnę, by ludzie umierali regularnie jak w zegarku nie mając w tej sprawie nic do powiedzenia, a nie decydowali, jak długo jeszcze będą żyć. Powinno istnieć prawo zabraniające sprzedawania tego środka ludziom, którzy przekroczyli już sto pięćdziesiąt lat.

- Słaba nadzieja, biorąc pod uwagę, że starzy ludzie mają pieniądze i prawo głosowania. - Popatrzył na nią badawczo. - Czy jesteś gotowa umrzeć, Em?

- Na miłość boską, jak możesz o coś podobnego pytać własną żonę. Kochanie! Nie mam jeszcze nawet stu lat. Przesunęła lekko dłońmi po swojej zgrabnej młodzieńczej figurze niemal nastolatki. - Najlepsze lata mego życia są jeszcze ciągle przede mną. Ale mogę się z tobą założyć, że jak stuknie sto pięćdziesiąt, stara Em wyleje swój antygerason do zlewu i przestanie zajmować pokój, przy czym zrobi to wszystko z uśmiechem.

- Oczywiście, oczywiście, trzymam zakład. Tak właśnie mówią oni wszyscy. A ilu było takich, którzy się na to zdecydowali?

- Ten mężczyzna w Delaware.

- Nie spuchł ci jeszcze język od mówienia o nim? To było pięć miesięcy temu!

- No dobrze, a Babunia Winkler z tego samego Bloku?

- Ona wpadła pod pociąg w metro.

- Ale to była właśnie droga odejścia, którą wybrała odpowiedziała Em.

- Tak? Cóż więc miało znaczyć tych sześć opakowań antygerasonu, które miała wtedy przy sobie?

Emeralda ze znużeniem potrząsnęła głową i przymknęła oczy.

- Nie wiem, nie wiem. Wiem tylko, że coś trzeba zrobić. - Westchnęła. - Czasem bym chciała, żeby oni zostawili chociaż parę chorób płaczących się gdzieś tam, żebym mogła którąś z nich złapać i poleżeć choć trochę w łóżku. Za dużo ludzi! - krzyknęła, a jej słowa zagdakały, zagęęgały i zamarły wśród tysięcy asfaltowanych, najeżonych drapaczami chmur podwórek.

Lou czule pogłaskał ją po ramieniu.

- Och, kochanie, nie mogę znieść, kiedy jesteś taka przygnębiona.

- Gdybyśmy mieli samochód, jak ludzie w dawnych czasach - powiedziała Enz - moglibyśmy wybrać się na przejażdżkę i uciec od ludzi choć na chwilę. Boże, to były czasy!

- Tak, póki nie zużyto wszystkiego metalu.

- Wskoczylibyśmy do wozu, a Papa podjechałby do stacji benzynowej i zawołał: "Nalej do pełna!"

- Tak, to była fantazja, zanim wyczerpali wszystkie zasoby benzyny.

- I wyruszylibyśmy na beztroską przejażdżkę po kraju.

- Wszystka to wydaje się teraz bajką, prawda, Em? Trudno uwierzyć, że kiedyś istniały otwarte przestrzenie między miastami.

- A jakbyśmy zgłodnieli - ciągnęła Em - tobyśmy sobie znaleźli restaurację, weszli z fasonem i powiedzieli: "Proszę befsztyk i frytki" albo: "A jakie są dziś kotlety, schabowe?" - Em oblizwała wargi, oczy jej zabłyśły.

- O rany! - zamruczał Lou. - A co byś powiedziała na hamburgera?

- Mniam, mniamm.

- Gdyby nam ktoś zaproponował spreparowane wodorosty morskie w owych czasach, plunęlibyśmy mu w oko, no nie, Em?

- Albo spreparowane trociny!

Lou uparcie próbował w tej sytuacji znaleźć jej weselsze strony.

- Cóż, oni w każdym razie twierdzą, że obecnie ma to lepszy smak, mniej się czuje wodorosty i trociny niż na początku, i że jest znacznie zdrowsze, niż to, co jadałismy poprzednio.

- Ja czułam się świetnie! - gwałtownie zaprzeczyła Em.

Lou wzruszył ramionami.

- No dobrze, ale musisz zdać sobie sprawę, że świat nie byłby w stanie wyżywić dwunastu miliardów ludzi, gdyby nie spreparowane wodorosty i trociny. Myślę, że to naprawdę jest wspaniała rzecz. Tak mi się wydaje. Oni tak mówią.

- Oni plotą, co im ślina na język przyniesie. - Em zamknęła oczy. - Boże, czy pamiętasz, jak sklepy walczyły o to, by skłonić ludzi do kupienia czegośkolwiek? Nie musiałeś czekać na niczyją śmierć, żeby zdobyć łóżko, krzesła, piec, czy coś w tym rodzaju. Po prostu wchodziłeś i bach! kupowałeś, co ci się tylko zamarzyło. Jezu! Tak było cudownie, póki nie zużyto absolutnie wszystkich surowców. Byłam wtedy małym dzieckiem, ale pamiętam to tak dobrze...

Lou, przygnębiony, podszedł apatycznie do krawędzi balkonu i spojrzał w górę, w wyraźne, chłodno błyszczące gwiazdy na tle czarnego aksamitu nieskończoności.

- Pamiętasz, Em, jak kiedyś mieliśmy bzika na punkcie fantastyki naukowej? Lot nr 17 na Marsa, wyrzutnia nr 12. Wszyscy na pokład! Uprasza się cały personel nietechniczny o pozostanie w bunkrach. Dziesięć..., dziewięć... osiem... siedem... sześć... pięć... cztery... trzy... dwa... jeden! Główny człon! Barru-u-um!!!

- Po co martwić się o to, co się dzieje na Ziemi? - odezwała się Em również wpatrując się w gwiazdy. - Za kilka lat wszyscy będziemy szybować w przestrzeni, by zacząć nowe życie na nowej planecie.

Lou westchnął.

- Tak, tylko okazuje się, że trzeba by czegoś dwa razy większego od Empire State Building, by dostarczyć jednego parszywego kolonistę na Marsa. A za parę dalszych bilionów dolarów mógłby zabrać ze sobą żonę i psa. To jest sposób na zlikwidowanie przeludnienia - emigracja!

- Lou?...

- Hm?

- Kiedy odbędą się wyścigi samochodowe na 500 mil?

- Och... w Święto Umarłych, trzydziestego maja.

Em ściągnęła usta.

- Czy to bardzo okropne z mojej strony, że zapytałam?

- Chyba nie bardzo. Każdy w tym mieszkaniu sprawdził to aż nadto dokładnie.

- Nie chcę być okropna - powiedziała Em - ale od czasu do czasu człowiek musi wygadać się i zrzucić to wszystko z wątroby.

- Ja też tak uważam. Czujesz się lepiej?

- Tak. I więcej już nie będę się ciskać, będę się starała być dla niego tak miła, jak tylko potrafię.

- To rozumiem, to jest moja Em!

Wyprostowali się, uśmiechnęli dzielnie i weszli do mieszkania.

Dziadunio Schwartz z brodą wspartą na pięściach, obejmujących gałkę laski, patrzył gniewnie na pięciostopowy ekran telewizyjny dominujący nad całym pokojem. Komentator

podsumowywał wydarzenia dnia. Mniej więcej co trzydzieści sekund Dziadunio dźgał końcem laski w podłogę i wrzeszczał:

- Do diabła! Zrobiliśmy to już sto lat temu!

Emeralda i Lou, wszedłszy do pokoju, zmuszeni byli zająć miejsca w tylnym rzędzie, za ojcem i matką Lou, szwagrem i szwagierką, zięciem i synową, wnukiem i jego żoną, wnuczką i jej mężem, prawnukiem i jego żoną, siostrzeńcem i jego żoną, stryjecznym wnukiem i jego żoną, stryjeczną prawnuczką i jej mężem, stryjecznym prawnukiem i jego żoną, no i oczywiście Dziaduniem, który siedział na przedzie. Wszyscy, wyjąwszy Dziadunia, który był co nieco zwiędły i przygarbiony, wyglądali, według norm przedantygerasonowych, jakby byli mniej więcej w równym wieku, gdzieś pod trzydziestkę albo niewiele ponad.

- "Tymczasem - mówił komentator - Radzie w Bluffs, Iowa, zagrażała ponura tragedia. Ale dwustu zmęczonych pracą ratowniczą robotników nie traciło nadziei i uparcie kopało dalej czyniąc nadludzkie wysiłki, by ocalić stuosiemdziesięcioletniego Elberta Haggedorna, który od dwóch dni był uwięziony w..."

- Mam nadzieję, że jego koniec będzie przyjemniejszy szepnęła Emeralda do Lou.

- Cisza! - wrzasnął Dziadunio. - Jeżeli jeszcze któreś z was otworzy jadaczkę w czasie programu telewizyjnego, nie dostanie nawet złamanego grosza... - głos złągodniał mu nagle i zmiękł - ...kiedy dadzą znak kraciastą jak szachownica chorągiewką na torze w Indianapolis, a stary Dziadunio wybierze się w swą Wielką Podróż do Krainy Wieczności. - Sentymentalnie pociągnął nosem, gdy tymczasem jego spadkobiercy rozpaczliwie usiłowali nie spowodować najmniejszego dźwięku. Sława o przyszłej Wielkiej Podroży nie robiły już na nich wrażenia, ponieważ Dziadunio wspominał o tym mniej więcej raz dziennie od lat pięćdziesięciu.

- "Dr Brainard Keyes Bullard - mówił dalej komentator - rektor Uniwersytetu w Wyandotte, stwierdził w swym przemówieniu dziś wieczorem, że większość nieszczęść gnębiących świat wynika z faktu, iż wiedza człowieka o nim samym nie dotrzymuje kroku jego wiedzy o otaczającym go świecie".

- Do diabła! - wykrzyknął Dziadunio. - Stwierdziliśmy to już sto lat temu!

- "Dziś wieczorem Szpital Położniczy w Chicago obchodzi szczególną uroczystość. Honorowym gościem jest Lowell W. Hitz, wiek zero. Hitz, który przyszedł na świat tego ranka, jest dwudziestopięciomilionowym dzieckiem urodzonym w tym szpitalu".

Komentator znikł, a na ekranie pojawił się młody Hitz, wrzeszczący przeraźliwie.

- Do diabła - szepnęła Lou do Emeraldy - stwierdziliśmy to już sto lat temu.

- Słyszałem! - wrzasnął Dziadunio. Wyłączył z trzaskiem telewizor, a jego przerażeni potomkowie patrzyli w milczeniu na ekran. - Ty tam, chłopcze...

- Nie chciałem nic przez to powiedzieć, sir - odezwał się Lou.

- Daj mi mój testament. Wiesz, gdzie jest. Wy wszyscy, moje dzieci, wiecie, gdzie on się znajduje. Przynieś go, chłopcze!

Lou ponuro skinął głową i ruszył przez hall, wybierając drogę przez legowiska do pokoju Dziadunia, jedynego samodzielnego pokoju w mieszkaniu Schwartzów. Pozostałe pomieszczenia były to: łazienka, salon oraz szeroki korytarz bez okien, który początkowo miał służyć za jadalnię i w jednym jego końcu znajdowała się kuchenka. W hallu i salonie rozłożono sześć materaców i cztery śpiwory, tapczan stojący w salonie zajmowało jedenaste małżeństwo - aktualni faworyci.

Na biurku Dziadunia leżał jego testament, wybrudzony, z oślimi uszami, podziurawiony i zapaćkany setkami uzupełnień, wykreśleń, oskarżeń, warunków, ostrzeżeń, porad oraz uwag filozoficznych na domowy użytek. "Dokument ten rozmyślał Lou - jest dziennikiem prowadzonym przez lat pięćdziesiąt - wszystko stłoczone na dwóch kawałkach papieru - bałamutnym, nieczytelnym dziennikiem nieustannego współzawodnictwa". Tego dnia Lou miał być wydziedziczony po raz jedenasty i prawdopodobnie odzyskanie obietnicy udziału w spadku będzie go kosztowało około sześciu miesięcy nienagannego zachowania.

- Chłopcze! - zawołał Dziadunio.

- Idę, sir. - Lou pospieszył z powrotem do salonu i wręczył Dziaduniowi testament.

- Pióro! - rozkazał Dziadunio.

Natychmiast podano mu jedenaście piór - po jednym od każdego małżeństwa.

- Nie, to cieknie - powiedział odtrącając pióro Lou. O, to jest ładne. Dobry z ciebie chłopiec, Willy. - Przyjął pióro od Willy'ego. To była wskazówka, na którą wszyscy czekali. Teraz Willy, ojciec Lou, był nowym faworytem.

Willy, który wyglądał niemal tak młodo, jak jego syn, chociaż liczył sto czterdzieści dwa lata, nieudolnie usiłował ukryć swą radość. Popatrzył nieśmiało na tapczan, który miał się stać jego własnością, a z którego Lou i Emeraldal musieli przenieść się z powrotem do hallu, na najgorsze miejsce przy drzwiach do łazienki.

Dziadunio celebrował każdy wzniosły dramat, którego był autorem, i wszystkiemu, co posiadał, nadał piętno swojej osobowości. Marszcząc brwi i wodząc palcem wzdłuż każdej linijki, jakby widział testament po raz pierwszy w życiu, zaczął czytać z głęboką złowieszczą jednostajnością basowego tonu w katedralnych organach:

- "Ja, Harold D. Schwartz, zamieszkały w Bloku nr 257, w Alden Village, Nowy Jork, niniejszym oświadczam, ogłaszam i czynię ten dokument moją Ostatnią Wolą i Testamentem, anulując tym samym wszystkie moje poprzednie testamety i kodycyłe kiedykolwiek sporządzone".

Wysiąkał z namaszczaniem nos i czytał dalej nie roniąc ani słówka i powtarzając niektóre z emfazą, a szczególnie coraz - bardziej - skomplikowane specyfikacje dotyczące pogrzebu.

Przy końcu tych specyfikacji Dziadunia tak zatkało ze wzruszenia, iż Lou pomyślał, że może w końcu zapomniał, w jakim celu kazał sobie przynieść testament. Ale Dziadunio bohatercko okiełznał wzruszenie i po chwili wymazywania zaczął równocześnie pisać i mówić. Lou mógłby wyrecytować za niego cały tekst - słyszał go przecież tyle razy...

- Przeżyłem wiele zgryzot przed opuszczeniem tego padołu łez i udaniem się do lepszego świata - mówił i jednocześnie pisał Dziadunio. - Ale najgłębszą ze wszystkich ran zadał mi... - obrzucił spojrzeniem całą grupę usiłując przypomnieć sobie, kto był tym krzywdzicielem.

Wszyscy popatrzyli współczująco na Lou, który z rezygnacją podniósł rękę.

Dziadunio skinął głową, przypomniawszy sobie, i dokończył zdanie: - ...mój prawnuk Louis J. Schwartz.

- Wnuk, sir - odpowiedział Lou.

- Nie wykręcaj się. I tak wpadłeś z kretesem, młody człowieku - powiedział Dziadunio. Zmienił jednak ten szczegół i kontynuował już bez potknięć, stwierdzając wydziedziczenie, którego przyczyną był brak szacunku i kręctwo.

W następnym paragrafie dotyczącym w różnych okresach każdego z obecnych w tym pokoju, imię Lou zostało wykreślone i zastąpione imieniem Willy'ego, który stał się spadkobiercą mieszkania oraz największej gratki - podwójnego łóżka w samodzielnej sypialni.

- Tak! - Dziadunio uśmiechnął się promiennie. Wymazał datę u dołu testamentu i wpisał nową zaznaczając również godzinę. - Czas na obejrzenie "Rodziny McGarveyów".

"Rodzina McGarveyów" był to serial telewizyjny, który Dziadunio oglądał od ukończenia sześćdziesiątki, czyli od stu dwunastu lat.

- Nie mogę się doczekać, co będzie dalej - powiedział.

Lou oderwał się od grupy i legł na swym łożu boleści przy drzwiach do łazienki. Pragnął, by Em przyszła do niego, i zastanawiał się, gdzie też ona może być.

Drzemał chwilę, dopóki nie został obudzony przez kogoś, kto przelazł nad nim, usiłując dostać się do łazienki. W chwilę później usłyszał słaby bulgoczący dźwięk, jak gdyby

wylewano coś do umywalki. Nagle przyszło mu na myśl, że Em załamała się i że to ona przedsięwzięła coś drastycznego przeciwko Dziaduniowi.

- Em!... - szepnął przez szybę. Odpowiedzi nie było. Pchnął drzwi. Sfatygowany zamek, którego zasuwka ledwie trzymała się w oprawce, stawiał opór tylko przez moment, po czym drzwi się otworzyły.

- Morty! - wykrztusił Lou.

Jego stryjeczny prawnuk, Mortimer, który niedawno ożenił się i sprowadził swą żonę do mieszkania Schwartzów, spojrział na niego z konsternacją i zaskoczeniem. Gwałtownym kopnięciem zatrzasnął drzwi, Lou jednak zdążył zobaczyć pewien przedmiot w rękach Morty'ego - była to olbrzymia napełniona do połowy butla antygerasonu Dziadunia, której zawartość Morty uzupełniał po szyjkę wodą.

W chwilę później Morty wyszedł, spojrział wyzywająco na Lou i otarł się o niego bez słowa kierując się ku swej ładniutkiej żonie.

Lou, zaszokowany, nie wiedział, jak postąpić. Nie mógł dopuścić, by Dziadunio zażył zdradliwy antygerason, ale z drugiej strony, jeśli go ostrzeże, Dziadunio z pewnością do reszty zatruje im wszystkim życie, które i tak było już nie do zniesienia.

Zajrzał do salonu i zobaczył, że Schwartzowie, a wraz z nimi i Emeralda, siedzą na razie spokojnie, rozkoszując się groteską, jaką ze swego życia uczynili McGarveyowie. Cichaczem prześliznął się do łazienki, zamknął drzwi tak dobrze, jak tylko mógł, i zaczął wylewać zawartość butli Dziadunia do umywalki. Miał zamiar napełnić ją ponownie pełnowartościowym antygerasonem z dwudziestu dwóch mniejszych butelek stojących na półce. Butla miała pojemność pół galona, a szyjka jej była bardzo wąska, toteż zanosiło się, że jej opróżnianie będzie trwało wiecznie. Zdenerwowanemu Lou wydawało się, że prawie nieuchwytny zapach antygerasonu, podobny do zapachu sosu worcestershire, rozchodzi się po całym mieszkaniu przez dziurkę od klucza i szparę pod drzwiami.

- Gul - gul - gul - gul - monotonnie szemrała butla.

Nagle z salonu doleciały dźwięki muzyki, potem szmery i szuranie przesuwanych krzesel.

- ...Na tym kończy się - dobiegł go głos spikera telewizyjnego - dwudziestodzieciotyśniętym sto dwudziesty pierwszy rozdział z życia naszych sąsiadów McGarveyów”.

Usłyszał odgłos kroków w hallu. Ktoś zapukał do drzwi.

- Chwileczkę - zawołał żywo Lou. Rozpaczliwie potrząsnął butelką, usiłując szybciej ją opróżnić. Dłonie ześliznęły się po mokrym szkłe i ciężka butla rozprysnęła się w drobny mak na kaflowej posadzce.

Odskokczyły gwałtownie pchnięte drzwi i Dziadunio stanął jak rażony piorunem.

Lou uśmiechnął się ujmująco mimo wstrętu, który go ogarnął, i z braku czegokolwiek bodaj mgliście przypominającego jakiś pomysł, czekał, co powie Dziadunio.

- Cóż, chłopcze - odezwał się w końcu Dziadunio wygląda na to, że czeka cię małe sprzątanie.

I to było wszystko, co powiedział. Odwrócił się, utorował sobie drogę wśród tłumu i zamknął się w swojej sypialni.

Schwartzowie jeszcze chwilę przypatrywali się Lou w niedowierzającym milczeniu, po czym wycofali się spieszenie do salonu, jak gdyby cząstka tego potwornego przewinienia mogła również ich skazić, gdyby patrzyli zbyt długo. Morty zatrzymał się nieco dłużej, aby rzucić Lou kpiące, zjadliwe spojrzenie. Następnie on również wszedł do salonu, pozostawiając jedynie Emeraldę stojącą w drzwiach.

Łzy płynęły po jej policzkach.

- Och, moje biedne kochanie, proszę, nie patrz tak strasznie. To moja wina. To ja cię do tego sprowokowałam.

- Nie - powiedział Lou odzyskując głos. - Naprawdę tego nie zrobiłaś. Słowo honoru, Em, ja tylko...

- Nie musisz się absolutnie przede mną tłumaczyć, kochanie. Jestem po twojej stronie niezależnie od wszystkiego. - Pocałowała go w policzek i szepnęła do ucha: - To nie byłoby morderstwo, kochanie. To by go nie zabiło. To wcale nie była tak potworna rzecz, po prostu ułatwiłoby “ mu tylko ten ostateczny krok i mógłby odejść w każdej chwili, gdy Bóg go do siebie powoła.

- Co będzie dalej, Em? - spytał głucho Lou. - Co on zamierza zrobić?

Lou i Emeraldal, przestraszeni, czuwali niemal przez całą noc, oczekując reakcji Dziadunia. Ale żaden dźwięk nie dochodził z jego sanktuarium. Na dwie godziny przed świtem wreszcie zasnęli.

O szóstej godzinie wstali, jako że była to pora śniadania w kuchence dla ich generacji. Nikt się do nich nie odezwał. Na jedzenie mieli dwadzieścia minut, potem należało zwolnić miejsce dla kolejnej młodszej generacji. Reakcje ich były jednakże tak przytępione z powodu złej nocy, że z trudnością zdołali przelknąć w tym czasie dwa kęsy spreparowanych wodorostów.

Następnie, zgodnie z obowiązkiem każdego, kto był aktualnie wydziedziczony, zabrali się do przygotowywania śniadania dla Dziadunia, które miało być podane mu na tacy do łóżka. Usiłowali podejść do tego pogodnie. Najgorszą stroną tej pracy była konieczność przyrządzania posiłku z najautentyczniejszych pod słońcem jajek, bekonu i margaryny, na które Dziadunio poświęcał niemal cały swój dochód.

- Trudno - powiedziała Emeraldal - nie mam zamiaru wpadać w panikę, zanim się nie upewnię, że mam po temu rzeczywisty powód.

- A może on nie wie, co ja stłukłem - z nadzieją w głosie powiedział Lou.

- Prawdopodobnie myśli, że szkielko od zegarka - odezwał się jego syn, Eddie, który bawił się apatycznie ciastkami z trocin przypominających kaszę tatarską.

- Nie bądź sarkastyczny wobec własnego ojca - skarciła go Em. - I nie mów z pełnymi ustami.

- Chciałbym zobaczyć takiego, który może nic nie mówić żując to paskudztwo - powiedział siedemdziesięcioletni Eddie. Spojrzał na zegarek. - Czas już zanieść Dziaduniowi śniadanie.

- Tak, już czas - powtórzył Lou słabym głosem. Wzruszył ramionami. - Weź tacę, Em.

- Pójdziemy oboje.

Szli powoli, dzielnie się uśmiechając. Przed drzwiami do sypialni ujrzeli posępne twarze Schwartzów stojących obok półkolem.

Em zapukała.

- Dziaduniu - powiedziała słodko - śniada - nko goto - we.

Nie było odpowiedzi. Em zapukała mocniej.

Drzwi ustąpiły pod jej ręką. Stojące pośrodku pokoju miękkie, szerokie łoże z baldachimem, symbol słodkiego luliluli dla każdego ze Schwartzów, było puste.

Sens śmierci, tak samo obcy Schwartzom, jak zoroastrianizm czy też przyczyny buntu Sipajów, poraził ich i zwolnił bicie serc. Pełni nabożnego lęku spadkobiercy zaczęli ostrożnie szukać pod meblami i za zasłonami czegoś, co stanowiło śmiertelne szczątki Dziadunia, ojca rodu.

Dziadunio jednak nie zostawił swej ziemskiej powłoki, tylko notatkę, którą Lou w końcu znalazł na komodzie pod przyciskiem przechowywanym w charakterze pamiątki z dwutysięcznych Targów Świątowych.

Zaczął czytać niepewnym głosem:

- "Ktoś, kogo przez te wszystkie lata chronilem, strzegłem i uczyłem według mych najlepszych intencji, ostatniego wieczoru zwrócił się przeciwko mnie niczym wściekły pies rozcieńczając lub też próbując rozcieńczyć mój antygerason. Nie jestem już człowiekiem młodym. Nie potrafię unieść miazdzącego ciężaru życia tak, jak potrafiłem to niegdyś. I oto po gorzkim doświadczeniu ostatniego wieczoru żegnaj was. Troski tego świata opadną wkrótce ze mnie niby płaszcz cierniowy i wreszcie zaznam spokoju. Gdy to znajdziecie, mnie już nie będzie".

- Do licha! - rzekł urywanie Willy - nawet nie zobaczy rozpoczęcia wyścigów samochodowych na 500 mil.

- Ani zawodów baseballowych o mistrzostwo Ameryki dodał Eddie.

- Ani czy pani McGarvey odzyskała wzrok - powiedział Morty.

- Tu jeszcze coś jest - powiedział Lou i znów zaczął głośno czytać: - "Ja, Harold D. Schwartz... niniejszym ogłaszam, oświadczam i czynię ten dokument moją Ostatnią Wolą i Testamentem, anulując tym samym wszystkie moje poprzednie testamenty i kodycyle kiedykolwiek sporządzone".

- Nie! - krzyknął Willy. - Tylko nie to!

- "Zastrzegam sobie, że wszystko, co pod jakąkolwiek postacią stanowi mój majątek nie ulega podziałowi, zapisuję i zostawiam w spadku całość do wspólnego użytkowania przez moje potomstwo w równej części bez względu na generację".

- Potomstwo? - spytała Emerald.

Lou zawarł wszystko w jednym machnięciu ręką.

- To oznacza, że cały ten przeklęty zwariowany kram jest naszą wspólną własnością.

Oczy zebranych natychmiast zwróciły się w stronę łóżka.

- W równej części? - spytał Morty.

- Właściwie - odezwał się Willy, który był najstarszym z zebranych - to jest tak, jak w starym systemie. Najstarsi ludzie kierują sprawami mając kwatery główną tutaj, i...

- Lubię takie gadanie - rzekła Em. - Lou należy się taka sama część, jak tobie, powiedziałabym nawet, że wszystko powinno przypaść najstarszemu, który jeszcze pracuje. Ty możesz sobie próżnować tu przez cały dzień, czekać na przekaz z rentą, a biedny Lou słać się ze zmęczenia, wykończony pracą i...

- A co byście powiedzieli na to, żeby spróbował ktoś, kto jeszcze nie miał do tej pory żadnego prywatnego życia zawołał gorąco Eddie. - Do diabła! Wy, starzy ludzie, mieliście chociaż w dzieciństwie swoje własne życie. Ja urodziłem się i wyrosłem w tych przeklętych koszarach w hallu! Cóż wy na...

- Taaak? - odezwał się Morty. - To prawda, że wszyscy mieliście ciężkie życie i moje serce krwawi z tego powodu. Ale spróbujcie dla draki przeżyć miodowy miesiąc w hallu!

- Cisza! - wrzasnął władczo Willy. - Kto otworzy gębę, spędzi najbliższe sześć miesięcy koło łazienki! A teraz wynocha z mojego pokoju! Chcę pomyśleć.

Wazon roztrzaskał się o ścianę tuż nad jego głową. W następnej chwili rozpętała się ogólna bijatyka, każda para usiłowała wyrzucić drugą z pokoju, tworzyły się i rozwiązywały walczące koalicje, błyskawicznie zmieniała się strategia. Em i Lou zostali wypchnięci do hallu, gdzie zorganizowali innych, będących w takiej samej sytuacji, i znów przypuścili szturm na pokój.

Po dwóch godzinach walki, bez żadnych widoków na rozstrzygnięcie, wtargnęła policja.

W ciągu następnych trzydziestu minut wozy policyjne oraz karetki pogotowia wywoziły Schwartzów, mieszkanie opustoszało i ucichło.

W godzinę później 500 000 000 ukontentowanych widzów na Wschodnim Wybrzeżu oglądało na ekranach telewizorów ostatnie etapy bójki.

W ciszy trzyizbowego mieszkania Schwartzów na 76 piętrze Bloku nr 257 został włączony telewizor. Raz jeszcze napelniły powietrze krzyki, pomruki i inne odgłosy bójkii rozbrzmiewające teraz nieszkodliwie z głośnika.

Walka pojawiła się również na ekranie telewizora znajdującego się na posterunku policji, gdzie z fachowym zainteresowaniem oglądali ją Schwartzowie wraz ze swymi poskromicielami:

Em i Lou leżeli spokojnie na pryzkach w sąsiadujących z sobą celach cztery na osiem.

- Em - odezwał się z za przepierzenia Lou - czy ty też masz swoją własną umywalnię?

- Oczywiście. Umywalnię, łóżko, światło - całe wyposażenie. Ha! A nam pokój. Dziadunia wydawał się Bóg wie czym. Jak to długo potrwa? - wyciągnęła rękę. - Po raz pierwszy od czterdziestu lat, kochanie, nie mam trzęsionki.

- Odpukaj - powiedział Lou - adwokat spróbuje załatwić nam rok.

- O Boże - westchnęła marząco Em - ciekawa jestem, za jakie sznurki trzeba pociągnąć, żeby dostać osobną celę?

- Dobra, zamknijcie się - odezwał się klucznik więzienny - albo w trymigi wyrzucę całą waszą pakę. A kto puści farbę na zewnątrz, jak dobrze jest w więzieniu, nigdy już się tu nie dostanie.

Więżniowie natychmiast zamilkli.

W salonie Schwartzów ściemniło się na chwilę, gdy z ekranu telewizyjnego zniknęły sceny bójkii, po czym ukazała się na nim twarz spikera niczym słońce, przedzierające się z za chmur.

- "A teraz, przyjaciele, mam dla was specjalną wiadomość od producentów antygerasonu, wiadomość dla wszystkich, którzy przekroczyli sto pięćdziesiąt lat. Czy jesteś skrzepowany towarzysko z powodu zmarszczek, sztywności stawów, utraty włosów lub ich siwienia oraz innych zmian zaszłych przed wynalezieniem antygerasonu? Jeżeli tak jest, nie musisz dłużej cierpieć ani czuć się wyobcowany i poza nawiasem.

Po latach badań wiedza medyczna wynalazła obecnie superantygerason! Po upływie kilku tygodni, tak - tygodni, możesz wyglądać równie młodo, czuć się i działać jak twoi praprawnukowie! Czy nie zapłacisz 5000 dolarów, aby nie różnić się od innych? Wcale nie musisz! Bezpieczny, sprawdzony superantygerason będzie cię kosztował tylko około dolara dziennie. Przeciętny koszt odzyskania sił i wigoru młodości wynosi niespełna 50 dolarów.

A teraz napisz do nas z prośbą o bezpłatny próbny karton. Umieść swoje nazwisko i adres na kartce pocztowej za dolara i wyślij ją pod adresem: «Super», Box 500 000, Schenectady. N.J. Zapisaleś? Powtarzam: «Super», Box..."

Słowom spikera towarzyszyło skrzywienie pióra Dziadunia, tegoż pióra, które ofiarował mu Willy poprzedniego wieczoru. Właśnie kilka minut temu Dziadunio wrócił z tawerny "Idle Hour", z której przez asfaltowy plac zwany Alden Village Green mógł widzieć Blok nr 257. Wezwał sprzątaczkę, kazał jej doprowadzić do porządku mieszkanie, po czym zwrócił się do najlepszego prawnika w mieście powierzając mu udowodnienie winy swemu potomstwu. Wreszcie przesunął tapczan i ustawił go naprzeciw telewizora, aby oglądać program telewizyjny w pozycji leżącej. To było coś, o czym marzył od lat.

- Schen - ec - ta - dy - zamruczał. - Zanotowałem.

Twarz jego zmieniła się w sposób zauważalny. Mięśnie twarzy rozluźniły się odsłaniając zyczliwość i spokój, ukryte przedtem pod złymi krechami. Mogłoby się wydawać, że otrzymał już próbny karton superantygerasonu. Kiedy coś go śmieszyło w programie telewizyjnym, uśmiechał się beztrudno, rozciągając o milimetr cienką kreskę swych warg. Życie było piękne. Nie mógł się doczekać, co mu przyniesie.